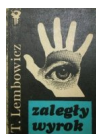


- Autor: Lembowicz Tadeusz
- Tytuł: Zaległy wyrok
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Klub Srebrnego Kluczyka
- Rok wydania: 1978
- Nakład: 100300
- Recenzent: [Grzegorz Cielecki](#)
- Recenzja: 137/2009



Wisielec z Weramixu, dwie butelki węgierskiego wina i flaszka wyborowej

Z mojego pobieżnego oglądu wynika, że Tadeusz Lembowicz popełnił cztery dzieła milicyjne -- dwie Ewy i dwie książki w serii z Kluczykiem. Przeczytałem "Zaległy wyrok" należący do tej drugiej grupy. Da się przebrnąć, choć powieść cechuje rzadko spotykana nadrefleksją pierwszoosobowego narratora.

Fabula koncentruje się wokół pętli, na której został powieszony lub też powiesił się sam -- to trzeba wyjaśnić -- niejaki Jerzy Messmer, do chwili zgonu zatrudniony w zakładach Weramix na stanowisku szefa rachuby. Śledztwo prowadzi nie znany nam z nazwiska i imienia kapitan, wyręczający się gdzie można Chorążym Pawłem Popielasem. Mamy tu tradycyjny układ mistrz-uczeń.

Denat był kompletnie niewyróżniającym się z tłumu samotnikiem. Nie miał rodziny, ani przyjaciół, nie prowadził życia towarzyskiego. Nie wiemy czym się interesował. Kompletna pustka, czarna dziura, nicość. No zupełny nikt. Dzięki temu śledczy muszą skupić się na dwóch wskazówkach znalezionych na miejscu zajścia. Pierwsza z nich to przytroczona do ciała karteczka o treści "zaległy wyrok" właśnie, druga to przekazy pocztowe adresowane na inżyniera Andrzeja Woroniańskiego, który staje się głównym podejrzanym. Wokół tych kwestii drepczemy przez 150 stron, ale nic z tego nie wynika. Brniemy przez kolejne przesłuchania i refleksje kapitana i wiemy gdzieś w połowie książki, że raczej milicjant sam się ze sprawą nie upora. Ktoś lub coś musi przyjść z odsieczą. Jak zwykle musi to być Pan Przypadek -- tu w osobie kumpla dziennikarza i jeszcze jednego drobiazgu, dzięki któremu sprawa sama się wyjaśnia. Gdyby nie to, kapitan mógłby czepić się kogoś niewinnego. Nic zatem dziwnego, że personaliów kapitana nie poznajemy. Wychodzi ów oficer bowiem na partacza zanudzającego wszystkich wokół swoimi nie prowadzącymi nigdzie rozważaniami i pseudoegzystencjalnym monologiem wewnętrznym w rodzaju: "Ilekoć byłem bliski rozwiązania zagadki śledztwa, tyle razy zaczynałem żywić obawę, że przypadek może mi zburzyć pięknie ułożoną mozaikę faktów. Ale choć nigdy dotąd tak nie bywało, zawsze budził się we mnie irracjonalny lęk" (str. 120).

Fabula grzęźnie w schematach: kochanka, ślad prowadzi w przeszłość oraz szpiegostwo. W zakładzie pracy denata zajmowano się elektroniką. Wyroby (nie bardzo wiemy jakie) pokrywano

platyną.

W trakcie lektury mną (podobnie jak kapitanem) też targał irracjonalny lęk związany z obawą czy dotrąm do końca lektury. Obowiązek klubowy przeważył.

Końcowa sekwencja, w której kapitan urządza libację alkoholową (dwie butelki wina węgierskiego Medor Noir oraz zamrożona flaszką wyborowej), na którą zaprasza chorążego oraz kolegę dziennikarza mają raczej znamiona gestu rozpacz, niż chwili wytchnienia po śledztwie. Trzeba zapisać niepowodzenie. Zwróćmy bowiem uwagę, że to zazwyczaj pułkownik zaprasza na lampkę koniaku. A tu trzeba było upić się na własny koszt. Szczyt moralnego upadku.